№ 35. Warszawa, dnia (15) 27 Sierpnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Dziw, że pana zastałyśmy!—rzekła Stasia.—Przywiozłam panu pieniądze z prośbą o kupno konia i jakiej dryndulki.

— Tak dobrze idzie? A Włodzio wciąż narzeka na brak praktyki i ciężkie czasy.

— Ja tylko na brak czasu narzekam. Dostanie mi pan szkapę i wasąg?

— Choćby dzisiaj. Wszystko będzie. Matka w pasiece zajęta. Zaraz ją sprowadzę.

Ale już pani Taida szła ku nim trzęsąc głową.

— Nie masz Boga w sercu, dziewczyno, trząść matkę żydowską furą pięć mil. Było napisać o konie.

Ucałowała Ozierską, pogładziła Stasię po głowie.

— Rozgośćcie się w Dysi pokoju. Zaraz wam jeść przygotuję. Bo u mnie zawsze po dawnemu; przybywa lat, a nie ubywa roboty. A ten — wskazała na syna — dawniej, gdym wspomniała o żonie milczał, a teraz do oczu mi skacze, jakbym go do występku namawiała.

— Ależ, proszę mamy...

— Może raczysz milczeć. Ja dobrze pamiętam scenę, coś mi dziś urządził.

— Fe, panie Kazimierzu!—pogroziła palcem Ozierska.

— Czego mama odemnie chce! — wybuchnął z żałością. — Pracuję, zbieram, szczędzę, błagam matki, by wzięła kogo do pomocy, niech to tysiące kosztuje, zapracuję na nie, ale przecie nie mogę wbrew woli się żenić i kogoś okłamywać.

— Więc się żeń z kim chcesz. Ja ci swej woli nie narzucam.

Ruszył ramionami, milcząc.

— Oto masz zwykłe zakończenie rozmowy—rzekła gniewnie pani Taida, pokazując go Ozierskiej.

Stasia nie mięszała się do rozmowy.

— Czy mam co do roboty w szpitaliku? — spytała.

— A dajże pokój, choć dzisiaj—zaprotestowała pani Taida. — Poświęć ten dzień nam zdrowym.

— Możebyśmy poszli konie obejrzeć! — zaproponował Kazio.—Mam cztery do wyboru.

— Wczoraj odesłałam je na Poręby!—rzekła pani Taida. Chyba po obiedzie popłyniecie tam łodzią. Dobrze ci zrobi spacer, Stasiu, boś zmizerniała i schudła.

— Nie znam się na koniach, i na wybór pana się zgadzam, ale łódką chętnie popłynę - odparła Stasia.

Kaziowi pojaśniała twarz uciechą; wyszedł by dać stosowne rozporządzenie, a gdy wrócił, rozmawiał wesoło z Ozierską, dowiadując się o tryb ich życia, potrzeby, interesy.

Tylko raz wraz na zegarek spoglądał i zaledwie skończyli obiad, zwrócił się do Stasi.

— Jeśli pani sobie życzy możemy zaraz jechać. Zajmie to nam godzin kilka

— Ruszajmy tedy. Ale da mi pan wiosło.

Poszli przez ogród ku rzece. Łódka już czekała na nich, i chłop z dwoma wiosłami.

— Przecie damy rady sami!—rzekła Stasia. Zawsześmy sami wiosłowali.

— Możesz wracać, Michale! — rzekł Kazio podając jej rękę.

Usiadł potem sam u steru i odbili.

— Pod prąd płyniemy. Będzie ciężko pani!—zauważył.

— Pod prąd całe życie płynęłam. Przywykłam!

— Wracać za to lżej będzie.

— Jak zwykle, gdy się celu dobrnęło.

— Pani już teraz zupełnie szczęśliwa?

— Zupełnie, dzięki wam! Przecie mam troskę: pana.

— Mnie?—zdziwił się.

— Ano, tak. Dlaczego pan się nie żeni — robi taką przykrość matce.

— Bo mam wstręt do wszystkich kobiet.

— Do wszystkich. Więc i do mnie. Zdejmuje mi pan ciężar z sumienia.

— Sumienie pani może być spokojne. Cóż pani temu winna.

— Czemu znowu?

— Poco się pani pyta? Ja już nie powtórzę mej spowiedzi. Będę milczał do śmierci.

— Opętanie!—mruknęła. — Niechże pan się raz opamięta!

— A poco?—ruszył ramionami.—Mnie i tak dobrze—nie zmienię się.

— Ale w jakiem położeniu mnie pan stawia. Ja chyba powiem to matce pana.

— Jak pani chce! Ja nie powiem nikomu.

— Więc czegóż pan chce? żebym spłacając dług wdzięczności wydała się za pana? Do tego mnie pan chce doprowadzić! — wybuchnęła.

— A pani czego chce? Ja się pani ani narzucam, ani pokazuję, ani żądam, ani proszę. Unikam, by pani nie spotkać, nie dokuczam. Co więcej mogę uczynić, chyba umrzeć. Ale kochać, pożądać, myśleć, to mi wolno.

— I cóż za wynik z tego?

— Lata przejdą, ostygnie krew, włosy zbieleją, kark się zgarbi. Wtedy może stanę się znowu przyjacielem pani, jakem był w dzieciństwie.

— Pan już teraz siwy na skroniach? Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia siedem! Jeszcze drugie tyle i osiągnę swój cel.

— Co za brednie! Ładna perspektywa! Nie zazdroszczę!

— Słusznie zarobiona, za karę, żem pani nie potrafił zdobyć, ani zjednać. A pani szydzi, a przecie też nie inaczej życie urządzi.

— O, bardzo przepraszam. Żebym kochała, tobym zdobyła swe kochanie.

— Doprawdy! Nawet na mojem miejscu!

— Na pana miejscu powiedziałaby: nie ta, to druga.

— Winszuję, ale wedle mnie to nie kochanie.

— Otóż ja zapowiadam panu, że jeśli pan matce nie dogodzi i nie ożeni się, to ja wychodzę za mąż za pierwszego lepszego. Wtedy pan sobie te mrzonki i brednie wybije z głowy.

— Nie, bo wtedy już bez wyjątku wstręt będę miał do wszystkich kobiet.

— No, no, zobaczymy. Ja już syta jestem przykrości wobec matki pana i uczynię raz koniec!

Nic nie odpowiedział, więc się obejrzała.

Blady był i taki ból i smutek miał w twarzy, że może raz pierwszy w życiu uszanowała uczucie i przykro jej się zrobiło za niego.

Zapatrzony przed siebie na wodę, po chwili walki odparł krótko:

— Wola pani. Ja ni prosić, ni skarżyć się nie będę.

Długi czas płynęli nic nie mówiąc, wreszcie Stasia rzekła niecierpliwie:

— Żeby się pan zastanowił, jakaby ze mnie była żona i gospodyni. Nie byłam nigdy nikomu uległą, nie spełniałam niczyjej woli tylko swoją, o żadnem praktycznem zajęciu niemam wyobrażenia, nawet rachunków nie umiem prowadzić, jestem roztargniona, niedbała, zajęta tylko swoim fachem. Prowadzić dom, przyjmować gości, bywać w sąsiedztwie, to wszystko nie dla mnie. Miałby pan w gospodarstwie ruinę, w domu nieład, ze mną piekło. Żeby tak można na próbę rok spędzić, tobym rada. Ręczę, że panby miał dosyć!

Jemu ogień przeleciał po twarzy, i objął ją spojrzeniem rozkochanem.

— Ja za taki rok życiebym dał! — rzekł głucho.

— Co panu się dzieje!

— Pani wie! Miłuję. Pierwszy i ostatni raz w życiu. Dlaczego pani tę rozmowę wszczęła? Jabym milczał, jak już milczę dwa lata. Nikt się po mnie nawet nie domyślił, jakie mam w duszy kochanie. Pani wolno drwić, proszę.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PARYŻ.

Emila Zoli.

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Teraz gdy Wilhelm znowu zainstalowany jest u siebie, stosunki między braćmi nietylko nie ochładzają się, ale przeciwnie z dnia na dzień stają się ściślejszymi. Piotr spieszy do tej rodziny, bo tam czeka go zawsze przyjęcie serdeczne, i ciepło rodzinnego ogniska, i atmosfera pracy uzdrawiającej wszystkie gorycze życia; aby go zaś czekać miała osoba Maryi Couturier, o tem nie wie ani ta Marya, ani ksiądz Piotr, ani Wilhelm, któremu synowie wraz z teściową naznaczają nareszcie termin połączenia, albowiem pragną, wedle wyrażenia Zoli, wszyscy widzieć go... szczęśliwym. Powoli jednak ten niby ksiądz niby człowiek świecki, czuć się zaczyna tutaj intruzem. Tu wszyscy pracują, a on jeden tylko jest widzem, zabiera się zatem do dzieła jako pomocnik najstarszego z bratanków swoich, i chociaż to zrazu idzie oporem, jednakże po kilku dniach poznaje, że jest w pewnej mierze innym człowiekiem. Coś mu tylko dolega, coś mu przeszkadza — coś utrudnia ruchy, ale on sam nie rychło zapewne byłby wpadł na myśl, co jest istotną przyczyną tego kłopotu, i tego, że on tak nieswój się czuje, aż dopiero ta genialna, ta zdrowa Marya powiada mu w dostępnych słowach, że to ta sutanna nieszczęśliwa, która jest tak dziwnie długa... Powracając do domu rozmyśla ksiądz Piotr nad tą pozornie prostą, ale w gruncie rzeczy tak trafną uwagą, a owocem tych rozmyślań jest, że nazajutrz przychodzi do domu brata ubrany jak przyzwoity człowiek. Postąpił sobie rozumie się jak rozsądny i taktowny gentelman, nie wprowadził do tego nowego dla siebie ubioru, żadnych barw krzyczących, ani elegancyi przedwczesnej, ale ot tak byle nie razić oczu (nie wiadomo jeszcze o czyje mu szło najbardziej) no i rozumie się byle módz pracować. Wchodzi jednakże, mimo że to takie niby jasne jest to wszystko jak dzień, trochę zakłopotany, bo taka maskarada jest cokolwiek żenującą dla tego, który się jej po raz pierwszy dopuszcza, zwłaszcza też gdy tym przebranym ma być ex-ksiądz, ex-asceta i ex-apostoł, ale i tutaj takt niezrównany obecnych oszczędza mu wszelkiego upokorzenia. Wszyscy go witają, goręcej wszakże i serdeczniej niż zwykle, bo i jakże mogłoby być inaczej, a dwie tylko osoby pozwalają sobie na uwagi mniej więcej głośne, i mniej więcej trafne, dodajmy! Wilhelm Froment z poczciwym, jak utrzymuje Zola, uśmiechem, odzywa się, że choremu zaczyna powracać zdrowie, a Marya ze zwykłą szczerością wypowiada tę trafną uwagę, że tak jak jest dzisiaj, jest mu daleko lepiej... Nie mówi autor na pewno która z dwóch uwag bardziej przypada do serca panu Piotrowi Froment, ale my na własny domysł pozwalamy sobie na przypuszczenie, że ostatnia lepiej mu wynagrodziła to dzielne, prawdziwie męzkie postanowienie, na jakie się zdobył. Zresztą przyszłość pokaże, że nie takie jeszcze nagrody oczekiwały na tego szczęśliwca w zamian za jego szczere chęci powrócenia między ludzi przyzwoitych.

Ale że niema róży bez kolców, więc też powracający tryumfator dnia, trafia w drodze swojej do domu na jeden taki nieprzyjemny kwadrans, na jaki go naraża niespodziane, a z pewnością i niepożądane, spotkanie z tym starym dziwakiem księdzem Rose. Niegdyś był to jego mistrz, niegdyś patrzył na niego jak na wzór wszystkich cnót chrześcijańskich — z niego brał miarę jak wielką potęgą stałby się duchowny stan, gdyby jego członkowie mieli takie serca i taką ofiarność, jak ten ubogi duchem i pokorny sługa nieszczęśliwych, ale co tu o tem dzisiaj mówić! To przeszłość—przeszłość niepowrotna; on ją potępił, on jej złorzeczy dzisiaj — ona była męką całego życia jego. Nie po to przecież tyle przecierpiał, żeby go miało jedno ziarnko piasku, jeden człowieczyna, może i dobry, szlachetny, pełen cnót nawet powiedzmy, ale jeden tam jakiś, zatrzymać na jego drodze nowej. Zresztą przepaść między nim a tą przeszłością złowrogą. To też gorzkim, stanowczym, bezwzględnym względem tego biedaka okazuje się dzisiaj Piotr Froment, ale on w istocie innym być nie może. Każdy objaw łagodności, to byłoby w części przyznanie się do win; on musi to odtrącić — on musi być zuchwałym, bo inaczej całe dzieło... jego uzdrowienia moralnego na nic. To też dziwnem, ale nawskroś prawdziwem i z życia wziętem jest to spotkanie i ta rozmowa dwóch ludzi w tym dniu dla obu pamiętnym.

Ksiądz Rose nie monituje, nie robi wyrzutów; on prosi, zaklina, błaga — tamten jest gniewny, jakgdyby nie on był winowajcą — jak gdyby jemu właśnie w tej chwili rola sędziego przypadała.

Są w życiu takie zamiany ról i takie dziwne kapitulacye ze strony tych, którym przysługuje prawo pytań i sądów.

— Nie teolog ze mnie—mówi ten podskarbi paryzkiego ubóstwa, to też nie dogmatem ani przytaczaniem tekstów chciałbym cię odwrócić od twego dzisiejszego postanowienia. Zostań z nami — choćby w imię miłosierdzia i jego spraw—zostań!

— A dajże ty mnie pokój z twojem miłosierdziem i z twoją nagrodą po śmierci, i z waszym wymiarem sprawiedliwości tam w życiu wiecznem—w tym waszym raju poza grobem. A zastanowiłeś ty się sam, że to nie sprawiedliwość żadna, ale proste zwyczajne oszustwo, na które świat cierpi od wieków...

— Jeśli cię dogmat razi—zostań przy ewangelii—mówi ksiądz Rose.

— Dosyć tego wszystkiego! Wyczerpnęliście mnie aż do dna samego. Zbawienie ludzkości nie w miłosierdziu, a w wymiarze sprawiedliwości...

Czy on naprawdę taki oburzony ten ksiądz niedawny? zapyta czytelnik. Bynajmniej! tak nam się przynajmniej wydaje. On nie

tyle złorzeczy dawnemu życiu swemu, ile się lęka, aby go ktoś z jego nowej drogi nie nawrócił. On się oburącz chwycił tej teraźniejszości i wpółświadomie czuje, że rozstać z nią nie potrafiłby z pewnością. On to przeczuwa... czy przeczuwa? Zola upiera się przy tem, że on nie w widokach osobistych, że on nie z pobudek nizkich, ale w imię prawdy i zasady broni się dzisiaj, i takim go wystawia w dalszym ciągu—takim szczerym, takim prostomyślnym, takim jedynie wyznawcą zasad, których słuszność i prawdę teraz dopiero ocenił jak należy.

Nie wydaje nam się, psychologicznie biorąc, dopuszczalnym taki brak samowiedzy w człowieku, który tyle widział, rozmyślał, rozważał, oceniał i tyle cierpiał. To jego automatyczne a bezświadome posuwanie się na drodze zbliżenia się z kobietą, prawdopodobnem byłoby tylko u człowieka młodszego wiekiem, a niższego dojrzałością umysłową. Tylko że autorowi trzeba takiej prostoty arkadyjskiej, bo inaczej wiarołomca podwójny — wiarołomca wobec dobrowolnie poślubionego powołania i stosunku braterskiego zarazem, wydałby się zanadto potwornym, a więc snuje w dalszym ciągu sielankę tych dwojga, z której oni oboje biali i czyści wychodzą jak niemowlęta.

Mniejsza z tem, skoro tak się podobało Zoli, niechaj tak będzie, zobaczmy przynajmniej w jakiego to rodzaju sidła oplątanym być może przez kobietę człowiek, który dotąd w życiu wychodził z najpodnioślejszych założeń, i wdzierał się na najwyższe dostępne dla wybranego umysłu wyżyny. Aby czytelnika długo nie męczyć, powiedzmy odrazu, że sidła te stanowi cyklizm... Nie wierzycie czytelnicy? wydaje się to wam absurdem, szyderstwem... no, cóż robić, to tak jest, jak wam mówimy. Wola tej kobiety tak niemożebnie zdrowej, jednem skinieniem zniewoliła tego człowieka do odrzucenia cech zewnętrznych swojego powołania, a teraz nowe horyzonty życia, które mu przez cyklizm ukaże fanatyczka tej... idei, dokończą reformatora.

Trzeba jednakże mocno nienawidzieć ludzkość, trzeba gardzić do dna człowiekiem, trzeba doświadczać demonicznej radości na myśl ściągnięcia idei w rynsztok, żeby wymyślić konjunkturę podobną. Takim arcydrapieżnikiem jest w istocie Zola, tylko tym razem zrobił krok wielce ryzykowny, dał się uplątać modernizmowi, i dzięki temu popełnił, powiedzmy poprostu, nonsens. Gdyby mu się w apostolstwie księdza Piotra zachciało dopatrywać wszystkich, jakieby mu tam negacya podszepnęła, stron ujemnych, gdyby starą ascezę duchową tego fanatyka szczytnego chciał był wytrawić przez jakąś nowocześniejszą ideę — ale w każdym razie ideę, byłby się może rozminął z prawdą, z prawdopodobieństwem nawet, ale nie byłby był tak z pieca na łeb, jak to mówią, skoczył w absurd trywialny. Widać grzebiąc w śmiecisku współczesnem nie znalazł w nim nad cyklizm podnioślejszego żywiołu, widać że ten kunszt wydał mu się najpłodniejszym dla przyszłości rozsadnikiem — najlepszym między ekwiwalentami do zastąpienia dawnego rzeczy porządku, skoro wziąwszy siłę pierwszorzędną z pośród społeczności dogasającej, wiedzie ją na pokuszenia przy pomocy kobiety, a ta na wycieczkach bicyklowych wykłada ex-malkontentowi wielkiego stylu, sposób odrodzenia kobiety i ludzkości za pomocą dwukołowca. On chciał dla tej ludzkości skrzydeł idei Chrystusowej, w całym majestacie jej czystości, a ona mu pokazuje... rower.

Musi to jednak mieścić się w wielu mózgach współczesnych, bo niema dwóch tygodni, jak czytaliśmy w jednem z codziennych pism warszawskich, odezienia, jak się to mówi, poważnego, zupełne dla takiego obrotu rzeczy uznanie, i wysoką dla żywotności, jaką ma w sobie cyklizm, aprobatę, ale ponieważ już nieraz w „Tygodniku“ robiliśmy pobieżną o tym ustępie wzmiankę, nie widzimy potrzeby zatrzymywać się dłużej nad obłędnym pomysłem autora, zwłaszcza oddawszy mu to wszystko, co mu się należało, za tę chybioną profanacyę, która się tym razem manifestacyjnie przeciw swojemu twórcy obraca.

Tymczasem wycieczki, jakie rozpoczęła panna Marya Couturier z panem Piotrem Froment są coraz częstsze, coraz dłuższe i coraz rozkoszniejsze dla obojga uczestników tych wypraw. Z domowego otoczenia nikt im się nie dziwuje; owszem babcia Leroi pochwala je w zupełności, jako przywracające zdrowie duszy temu biednemu Piotrowi, który się tak długo błąkał po manowcach życia; bratankowie, którzy chodowali tę Maryę jako przyszłą Abizai dla swojego Dawida, ani myślą podejrzywać tych dwojga takich lojalnych i szczerych, a sam Wilhelm cieszy się że przyszła towarzyszka jego życia zajmuje się tak gorliwie pogodzeniem z życiem tej duszy schorzałej. Wszystko tedy idzie jak najlepiej, wziąwszy za podstawę akcyi całkowite tego sympatycznego rodzinnego gronka zaślepienie, ale i to rzecz ważna do jakiego też stopnia aktorowie główni odczuwają to, że ich jakiś nieznany im obojgu prąd unosić zaczyna — że ta droga to bądź co bądź ścieżyna wprost na manowce prowadząca.

Otóż tu jak powiedzieliśmy poszwankowała mocno nietylko psychologia u autora „Paryża,“ ale i prosta, zwyczajna nawet logika.

Przedewszystkiem faktem jest, że w tej sielance nie bierze wcale udziału pensyonarka ani student pierwszego kursu, ale całkiem przeciwnie; jedną owszem ze stron stanowi ex-ksiądz, a zatem z natury rzeczy spowiednik, psycholog i powiernik najróżnorodniejszych zboczeń ludzkich, a z drugiej znajdujemy dwudziestodwuletnią dziewicę nadzwyczajnie zdrową umysłowo i moralnie, która jak mówi autor, w niczem nie była podobną do gąsek, wychowywanych w religijnym i obyczajowym obskurantyzmie epoki minionej, ale przeciwnie było to indywiduum kobiece *silne swoją świadomością życia*, zbrojne przeciw upadkowi i zboczeniom całą właśnie potęgą swego ateizmu. A zatem z wielkiem szanownego autora przeproszeniem, jest to i kłamstwo i nieprawdopodobieństwo to wszystko razem, bo ci oboje chyba doskonale wiedzieć musieli co się z niemi dzieje, i nie wtedy dopiero dowiedzieli się o tem, kiedy im to za doradą pana Zoli babcia Leroi i ten wielki naturalista Wilhelm Froment dobitnie wytłómaczyli. Wtedy dopiero wpadają oni niby w rozpacz, uciekają od siebie złorzeczą sile, która ich tak nieprzeparcie ku sobie popchnęła — ani myślą o pofolgowaniu tej namiętności—owszem ona chce w dalszym ciągu koniecznie uszczęśliwiać tego 57-letniego Wilhelma, a on niewiadomo czy ma na widoku inną jaką cyklistkę, czy też miłość braterska tak potężnie się naraz w jego duszy o swoje prawa upomniała.

Co tam z nimi zrobią ci najbliżsi, dowiemy się niebawem, to w każdym razie mamy sobie za obowiązek raz jeszcze zaznaczyć najdobitniej, że psychologia jest w tym epizodzie tandetna nadzwyczaj, i przeznaczona najwyraźniej dla zupełnie niekrytycznego i całkiem niewybrednego czytelnika.

(Dokończenie nastąpi).

Wacław Wolski.

Z GŁĘBI DUSZY.

SONET.

Poryw.

Chciałbym ująć potężnie w olbrzymie ramiona
Zbrylancone gwiazdami wszechświata obszary,
Piorunami wygrzmiewać miłości hymn stary,
Słuchać tętna mocnego serc żywych miliona...

Chciałbym, żeby cytara, łez gradem sperlona,
Ideały wskrzesiła i ducha ofiary,
Chciałbym siłę Herakla, Atlasa mieć bary
I hart woli spiżowy, co piekło pokona...

Chciałbym spuścić się w ludzkiej Gehenny otchłanie,
Zajrzeć w oczy kamienne Ananke sfinksowi,
Chciałbym płynąć po szlochów i łez oceanie,

Gdzie czerniawa nędzarzy w konwulsyach się mrowi,
Słychać jęki, przekleństwa, śmiertelne chrapanie,
Gdzie płakaliby krwawo i męże stalowi...

EPIZOD ZE STOSUNKÓW polsko-żydowskich w Galicyi.

Było to w roku 188... Przyszła pora moich peryodycznych odwiedzin Galicyi, więc jak to zwykle ku końcowi Marca miewało miejsce, udałem się i teraz na wiosenną wyprawę na pogranicze powiatów Tarnowskiego i Gorlickiego, aby tam kilka tygodni czasu przepędzić. Prowincya ta, pomimo że ją od lat kilkunastu znałem, nigdy nie przestawała być dla mnie nowością pod wielu, bardzo wielu względami. Intelligentna, a niby rodzimie tutejsza sfera, w niczem do naszej nie podobna. Lud, jak gdyby nie tego samego co nasz pochodzenia; wyobrażenia, obyczaje, dą-

żenia, dziwiły, raziły, a nawet drażniły na każdym kroku, to też jedynie dla osłodzenia doli pewnego z konieczności osiedlonego tutaj nie-Galicyanina przybywałem tam rok rocznie, aby jemu i sobie lepsze czasy i innych ludzi w jego samotni przypominać. Ciężko bo było w istocie niezmiernie zżyć się z tem wszystkiem. Lud biedny, smutny, ponury jakiś, jakgdyby przygnieciony brzemieniem wypadków 1846 roku, w których bardzo czynny przyjmował udział, o wiele pod względem rozwoju jaki daje książka i szkoła przewyższał niby naszego tutejszego Jaśka i Macieja, ale jakiż od nich odmienny, jak w niczem tego dobrodusznego i szczerego typu nie przypominający. Z ludem stosunek, taki do jakiego wzdychał właściciel wioski, u którego gościłem, mimo kilkunastoletnich jego umiejętnych usiłowań i ofiar na ten cel łożonych, nawiązać się nie dawał. Setki prób, a każda kończyła się niefortunnie — po każdej też z nich niepoprawny ten człowiek uczuwał się dzięki niespodziance — nie powiemy zniechęconym, ale na tyle dotkniętym, że jakiś krótki czas odetchnąć i zapomnieć potrzebował. Ale że się liczył do bardzo wytrwałych, a w danem dziele do nałogowych nawet, więc takie odpływy energii nigdy się długo nie przeciągały u niego. Pouczany na każdym kroku przez mojego gospodarza i przewodnika, uczyłem się, dziwiłem i zdumiewałem z nim razem. Wszystko tam było na wywrót — wszystko na niekorzyść się obracało — wszystko szło na opak. Rozumne, szczere z duszy płynące słowo najumiejętniej stosowane do chwili i okoliczności, chybiało celu—przyjmowane było niezmienną głęboko wystudyowaną obłudą zewnętrzną a wewnętrzną bezwzględną niewiarą. Nonsens, głupstwo, absurd nieprawdopodobny rzucony między te massy zgłodniałe nowości, niby szmermel jaki między trzody, wykolejały, zniewalały do porzucenia zajęć, pobudzały do pędu jakiegoś owczego w stronę, zkąd dochodziły posłuchy.

Zawsze, po każdym fakcie pytać się trzeba było, jakie siły demoniczne składały się na wytworzenie tych typów niepojętych prawie dla nas—takich nieprzystępnych prawdzie, i takich względem niej wytrwale opornych.

Żyd galicyjski to także nie nasz żyd pod każdym względem. Nie powiadamy, żeby miał mieć właściwości rasowe ujemne odmienne i dlatego był niebezpieczniejszym jako pierwiastek rozkładowy w naszem życiu wewnętrznem—nie, to nie to bynajmniej stanowi różnicę. Różnica na niekorzyść naszą w Galicyi jest ta, że nasz żyd skrada się, a tamten za zdobycz chwyta ręką pewną — nasz rekognoskuje, podczas gdy tamten wie, że to, czego pożąda, jest jego — nasz chce zdobyć grunt, a tamten go już zdobył—nasz próbuje zadomowić się, a tamten już tego dokazał. Że żyd galicyjski jest w Galicyi u siebie, to fakt nie podpadający wątpliwości żadnej.

Bardzo w swoim rodzaju wybitny egzemplarz żydka wiejskiego w najpoprawniejszym rodzaju miałem do studyów na miejscu w osobie tamtejszego arendarza. W średnim wieku, powierzchowności sympatycznej, w zakresie dla typu semickiego dopuszczalnym, ogładzony w formach, w wysłowieniu poprawny, był w całem tego słowa znaczeniu żydem do szczególnych poruczeń dla dworu, jak ogólnie twierdzą, niezbędnym. Rodzina jego liczyła się do wielce bogobojnych; rabinów między antecessorami bez liku, a ojciec człek z górą osiemdziesięcioletni, który odsunąwszy się od interesów, przy synu zamieszkał, siedział w księgach mądrości po uszy same, i konsultowany bywał przez współwyznawców bliższych w wypadkach szczególnych, mianowicie gdy chodziło o spory i działy, o nieporozumienia w korzyściach różnych spółek bez firmy, na wypadek zawiązującego się jakiegoś interesu, który budził wątpliwości, wreszcie w nieporozumieniach małżeńskich o bezdzietność i t. p.

Nie być rabinem, a mieć jednakże taką klientelę, znaczyło to w każdym razie być niezwyczajnie biegłym w zakonie i mieć niepospolicie świętobliwą, w znaczeniu semickiem, przeszłość poza sobą. Patryarcha spoczywał, za to syn najstarszy, wspomniany właśnie przez nas arendarz propinacyi, utrzymywał stosunki z najwyższą hierarchią, jeździł parę razy do roku do Brodów i Sadogóry, a przeto ważył u swoich wiele, i aspirował do stanowiska ojcowskiego—kto wie, może wyżej jeszcze. O nim zazwyczaj mówili współwyznawcy, gdy szło przy handlu o wątpliwość jaką: „Przecie to Zyskind powiedział"—albo „No, to niechaj Zyskind powie; ja się na niego zdaję. Jednem słowem człowiek opinii, albo mąż zaufania, mówiąc po naszemu.

Ten tedy Zyskind, jako dzierżawca propinacyi w majątku, był zawsze gotów na zawołanie. Gdy miał interes przychodził w porze wieczornej, a i bez interesu, tak niby z grzeczności czy usłużności, stawiał się dwa razy mniej więcej w tygodniu — zwyczajnie jako człek swemu chlebodawcy szczerze oddany.

Raz pamiętam, przyszedł z wieczora, opowiedział o cenach zboża, o szansach handlowych blizkich jarmarków, powtórzył parę sąsiedzkich ploteczek, a po godzinie mniej więcej takiego sprawozdania, pożegnał się i wyszedł do przedpokoju. Ztamtąd powrócił jednak niebawem, i z pewną nieśmiałością czy wahaniem zagadnął:

— Co będzie, proszę pana, z tą karczmą na Cisiu?

— Cóż ma być — odpowiedział mu gospodarz domu, czując, że to post scriptum, to był jednakże główny cel dzisiejszej konferencyi.— Biorąc propinacyę wykluczyłeś sobie tę karczmę z ugody, jako nieprzydatną dla ciebie, a więc tak jak była zamknięta, tak jest i będzie zapewne jeszcze długo.

— Czyby wielmożny pan ją puścił?

— Kiedy ty mówisz, że ona nic nie warta.

— Bo ona jest nic niewarta. Jabym ją tak wziął... ot, co tu mówić, toby trzeba długo rozpowiadać, a to dla mnie wielkie zmartwienie jest—i dla mnie, i dla ojca, i dla nas wszystkich.

— Zmartwienie? powiadasz. Bójże się Boga, jak można ze zmartwienia brać karczmę?

— Wielmożny pan żartuje, a my mamy taką żałość; niech na moich nieprzyjaciół spadnie taka bieda, jak na mnie przyszła tymi czasy.

Tu nastąpiły parokwadransowe objaśnienia, a najprzód raz jeszcze nastąpiło malowanie w najczarniejszych barwach owej nieszczęśliwej a niewinnej karczmy, jeśli wogóle karczma nb. karczma galicyjska niewinną zupełnie być może, wreszcie opowieść jak można najbardziej szczegółowa, i jak można najdalej na wstecz sięgająca, odnośnie do tego kim jest ten, który tam ma zamieszkać, po co, dlaczego i t. d., i t. d. Kiedy się już rozmówiono i o cenę, i o sposób wypłaty należności, zagadnięty został żydek:

— Ja nawet nie wiedziałem, że ty masz drugiego brata.

— Chwała Bogu, on jest mój brat, niby ten Urym, ale on jest i moje wielkie zmartwienie także. Czego się czepi — na wszystkiem straci. Co to taki człowiek—taki człowiek to nieszczęście.

— A gdzież on dotąd mieszkał?

— On daleko, bardzo daleko mieszkał, aż na Bukowinie.

— I tam się tak zrujnował?

— I tam, i wszędzie.

— No dobrze, ale powiedże ty mnie, po co jemu naprawdę ta karczma, bo ja szczerze mówiąc—niewiem—nierozumiem.

— Co to mówić, w-ny panie. To dlatego, że nie honor jest u nas siedzieć tak z założonemi rękami. Jeszcze w takiej dużej familii jak nasza...

Na tem zakończono sprawę. Kiedy po wyjściu arendarza popadł gospodarz mój w dłuższe zamyślenie, przerwałem mu jego kontemplacyę zapytaniem:

— Czy to naprawdę nie może być interes żaden dla niego?

— Do tego stopnia żaden, że ja w głowę zachodzę, co oni w tem mają. Wystaw sobie: lasy i rozdoły, drogi żadnej możebnej, wieś rozrzucona — hat kilkanaście, ale to ludzie ubodzy wszystko, a przejezdnych wcale—no, dwa razy do roku nb. jeśli tam kto zabłądzi. Nie rozumiem, jednem słowem.

— Może jaki interes nie bardzo czysty — wtrąciłem, ale cofnąłem się wprędce wiedząc, że niby ten tutejszy jest za tamtego moralnie odpowiedzialnym, a uchodzi za człowieka porządnego.

— No... on jest porządny, ale jest przytem żyd, a to także coś znaczy. Koniec końców wypadnie mieć oko na niego.

(Dokończenie nastąpi).

Ze spraw kobiecych.

Nie na różach, jak się pokazuje, spoczywają przedstawicielki francuzkiego feminizmu— nie na zbytek kadzideł i pochlebstw uskarżać się może wogóle kobieta schyłku stulecia, skoro te, które ją niby reprezentują, z własnej inicyatywy zapytują głosu opinii, w czem francuzka dzisiejsza nie dorównywa swojej matce i babce, i które mianowicie typy wśród kobiet pokoleń minionych tak są godne uwielbienia, żeby je za wzory ich córkom i wnuczkom stawiać należało.

Rozumie się, że aby się od tej zbiorowej osoby, którą zwiemy ogółem, dowiedzieć czegokolwiek, wypada koniecznie dochodzić tego przez zapytywanie jednostek w tym ogóle najwybitniejszych, albo takich, które nam własne nasze przekonanie za najwybitniejsze uznawać nakazuje. Forma tego rodzaju zapytań zwie się w naszych czasach, jak wiemy, kwestyonaryuszem, a pomimo, że nam kwestyonaryusze bardzo się już naprzykrzyły, pomimo, że wybór osób zaszczycanych zapytaniami, prawie zawsze wypada nieszczęśliwie, postanowiliśmy wam, szanowne czytelniczki, o tym jednym jeszcze słów kilka w tej sprawozdawczej wzmiance powiedzieć. Nie idzie w tym kwestyonaryuszu o was, ale idzie o kobietę w każdym razie, i dlatego opowiemy wam, treściwie wybierając odpowiedzi najcharakterystyczniejsze, w jaki sposób wywiązali się tak zwani *wybitni* Francyi dzisiejszej względem redakcyi niewieściego organu „Fronda," gdy ich ta redakcya zaszczyciła zapytaniem, któreśmy na początku starali się jaknajjaśniej przedstawić.

A najprzód kogo uhonorowały zapytaniami o zdanie w danej kwestyi Frondzistki paryzkie?

Jak zwykle pierwszorzędnych w literaturze, polityce i sztuce, a iżby cień nawet stronniczości nie powiał z tych kart, wykluczonemi zostały kobiety. Przyznajemy, że tak dobrze nie możemy pojąć dla jakich przyczyn wykluczoną została kobieta, jak nie może nam się pomieścić w głowie, z jakiej racyi wyłącznymi arbitrami opinii, mają być w kwestyi, cały, bez żadnych wyłączeń, ogół obchodzącej, tylko ludzie pióra, tylko dzieci muz, i ci politycy czy politykujący nakoniec. Najprzód o ludziach nauki w ściślejszem tego słowa znaczeniu niema tam mowy wcale, a tylko o literatach, ci ostatni zaś to są romansopisarze, poeci i dziennikarze wedle najpowszechniejszego rozumienia. Romansopisarzy, niema, właściwie mówiąc, o co zapytywać, bo każdy z nich wraz z opiniami swemi odmalował się po dziesięćkroć we wszystkich swoich powieściowych kreacyach. Zapytywać dziennikarza nb. dziennikarza dzisiejszego w Paryżu, jaką on pragnąłby widzieć kobietę swojego kraju, jest to na czysto drwić z tego kraju, z kobiety, kobiecości, sądu rozumnego, i wogóle poważnego traktowania sprawy.

Dlaczego i po co udawać się do malarzy, rzeźbiarzy i muzyków, na to niechajby już odpowiedziały twórczynie kwestyonaryusza, bo co do nas daremnie biedzilibyśmy się nad odpowiedzią. Skoro jednakże tak się stało, zobaczmy z kilku nadesłanych listów w jaki sposób odpowiedziała każda z tych kategoryi położonemu w niej, jako w korporacyi, zaufaniu.

Z pomiędzy mężów zajmujących się czynnie polityką, podamy tutaj odpowiedź pana Poincarré. Ten radzi kobiecie francuzkiej dzisiejszej, aby przedewszystkiem nie brała za wzór nikogo, aby owszem starała się być sobą. Wolno nam tłómaczyć to sobie, że to co jest dziś, odpowiada wszystkim jego pragnieniom. Nie pozostaje tedy jak złożywszy mu życzenia dobrego gustu pozostawić go na boku.

Lepszego jeszcze smaku powinszować można członkowi akademii panu Vandal, ten bowiem wyznaje, że czuje słabość dla kobiet z „Frondy." Jest to odpowiedź ze wszelkich względów godna członka akademii. Jego pytają o przekonanie, a on spowiada się ze swoich słabości, dosyć, co prawda nawet, chorobliwych.

Juliusz Lemaitre, jeden z ludzi, których naprawdę zapytać należało, chce się sianem wykręcić, rzucając frondystkom replikę, którą się w formie odczepnego chciał Napoleon I-szy pozbyć napastliwej pani Stael. Powiada feministkom, że wzorować się powinny na tych matronach, które miały najliczniejsze potomstwo. Także trafił.

Poeci, można powiedzieć jednem słowem: nie popisali się.

Jeden z nich twierdzi, że gdyby miłość i rodzina nie ulegały zepsuciu (dobry sobie! a o cóż tu chodzi?), miałyby kobiety jako zadanie udzielanie natchnień i *tajne* (!!!) rządzenie mężami, synami i kochankami. Prawdziwy republikanin! Ten pojmuje widać cały aparat intryg i knowań z epoki kiedy pod Ludwikami rządziły Francyą istne wyrzutki kobiecości.

Sully-Prudhomme mówi, że ideałem kobiecości pozostanie Joanna d'Arc. Niesmaczniejszego frazesu trudno byłoby wymyśleć. Co oni wszyscy Francuzi i on z nimi wiedzą naprawdę o swojej Joannie d'Arc? Niechaj na to odpowiedzą najpierwej!

Juliusz Claretie mniema, że matka Grachów może służyć jako nigdy nie starzejący się typ kobiety obywatelki, nie widzi jednak potrzeby przypominania tego legendowego typu Francuzkom, które mają między sobą panią de Sevigné. Co tu na to powiedzieć p. Claretie? Chyba nic.

Jerzy Ohnet obstaje przy Kornelii.

Zabawnem jest, że kobietki z „Frondy" nie przepomniały o Catulu Mendezie. A przecież czytały go chyba. To też wypłaca im się on za ten zaszczyt po swojemu prawdziwie. Mówi, że trzebaby dać za przykład najbardziej nieznaną z pomiędzy tych, o których nikt nie wie, ale że co do niego, to on nie ma pojęcia, gdzie takiej szukać wypada.

Saint-Saëns, który najwyraźniej odznacza się wyjątkowym dla kobiet szacunkiem, proponuje im za arcywzór matkę stworzenia— Ewę.

Jest taki artysta, któremu w starożytności wyjątkowo imponuje Agrypina... ale tego już przecie na seryo brać nie można. To znowu inna zupełnie kategorya. To jest gryząca ironia—to obelga rzucona w oczy.

Zawsze twierdziliśmy i twierdzić nieprzestajemy dotąd, że z Francuzami my się co do kobiecości nigdy porozumieć nie zdołamy, i że wogóle poeci to są tacy ptaszkowie, których w wyjątkowych tylko wypadkach o sprawy poważne zaczepiać należy. Tyle się nakrzyczano zagranicą i u nas o Rostandzie, jako regeneratorze sztuki, jako o takim, który odświeżył atmosferę moralną, wprowadzając czysty ideał, a tu oto ten idealista biednym kobiecinom z „Frondy," niewiadomo już seryo czy żartem, daje jako wzór kobiety: Manon Lescaut.

Wogóle ten cały kwestyonaryusz bardzo nieszczęśliwie się powiódł. Co naprzykład zrobić z taką odpowiedzią, która utrzymuje, że pytanie było niedobrze przez frondystki postawione albowiem niepowiedziano tam wyraźnie o jaką kobietę chodzi: o matkę, małżonkę, córkę czy patryotkę. Pożal się Boże wyzywać na odpowiedzi takich ludzi, którzy w kobiecie poszukują poszczególnego spełniania rozmaitych funkcyi przypadających jej w życiu, a którzy zdają się nierozumieć, iż kobieta bez wyrobionych uczuć obywatelskich, które w niej ponad wszystkiemi dominować powinny tak samo jak u mężczyzny, nie jest kobietą w całem znaczeniu tego słowa.

Jest też wiele bardzo odpowiedzi, które rażą tak krańcową jednostronnością, że jeśli im tu miejsce dajemy, to chyba dla stwierdzenia, iż ludzi zapatrzonych w jeden punkt, specyalistów, a przedewszystkiem artystów, nigdy o zagadnienia w sprawie obyczajów, etyki, postępu i t. p. pytać nie należy, bo się zawsze prawie coś niedorzecznego usłyszy w odpowiedzi.

Oto jeden z takich zapytany, kogo za wzór winna brać kobieta, aby się udoskonalić, odpowiada, że zawsze jedną z takich niewiast, które były największemi i najszczerszemi czcicielkami sztuki.

Po tym kwestyonaryuszu niespodziewamy się rychło drugiego w tej samej przynajmniej sprawie, a gdyby miał się znaleźć przyobiecujemy wam solennie, czytelniczki szanowne, zamilczeć o nim w sprawozdaniach naszych, chyba gdyby miał być nasz, swojski, tutejszy, to w takim razie zrobimy wyjątek. O ile wiemy jednak, nic nam podobnego na tę chwilę nie zagraża.

K.



NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu

(Ciąg dalszy).

Formalności prawne, spis inwentarza, wyznaczenie opieki, wszystko to odbyło się w czasie właściwym, a ze względu, że strona interesowana przyśpieszała — trochę nawet przedwcześnie. Pojono, karmiono i przejednywano każdego, kto był potrzebny, a że liche sumienia i liche głowy należały do sprawy, więc gadaniny, w części przez głupotę, w części przez złośliwość tych, których pominięto, dużo zrobiło się koło tych działów i tego spadku. Znalazł się ktoś także taki, komu zależało, żeby rozdział majątku odbył się z większą sprawiedliwością, a był nim kandydat do ożenku z siostrą Jaśka młodszą, a więc jak to mówią, był to sekret, ale wiedział o nim tylko wójt i gromada cała. Nie obyło się też bez tego, żeby rzecz nie transpirowała do dworu i na plebanię. Dwór spokorniał teraz bardzo; po kilkakrotnych próbach interweniowania w sprawy wewnętrzne wioski, gdy mu ostentacyjnie powiedziano, że go tutaj do rady nie potrzebują, patrzył teraz z przykrością, ale zarazem z poczuciem bezsilności własnej na każdy akt podobny; plebania w Zalesiu była wytrwalsza dotąd, i więcej się też z nią nieco rachować musiano, w sprawie mianowicie tak niemoralnej, jak była ta. I ta jednak powaga szwankować zaczynała mocno, jak to wreszcie zobaczymy niebawem.

Jak się rozniosło, że przyszłe prawa do spadku tego Marka są zaplątane o tyle, o ile się je tymczasowo zaplątać dało, skorzystał ksiądz z pierwszej bytności sołtysa na probostwie, żeby z nim pomówić. Wiadomo mu było, kto prowadził wszystko i dlaczego, a chociaż o znalezieniu pieniędzy cicho było dotąd zupełnie, bez tego jednak z cyfr samych widoczną była intencya zrobienia w przyszłości krzywdy nieletniemu.

— A co to tam, Filipie — krótko jakoś wziąść chcecie tego Marka? Hę? Jakże to będzie?

— Ja nic nie wiem — odparł układnie zagabnięty, próbując tymczasem. czyby uprzejmością w obejściu nie dało się uratować położenia rzeczy.

— Jakto nic nie wiesz? Dziewczynę, jak powiadają, wydajesz za tego niecponia starszego, i takeście tam słyszę, zakręcili tą masą spadkową, żeby on później do niczego nie trafił. Najprzód wiedz o tem, że to jest głupio, bo szelmowsku, a potem, że to jest głupio, bo może się na nic nie przydać, i to ci powiem, że tyle będzie pewnie waszego, co sobie sumienie obciążycie, i jeszcze wam się wstydu przed ludźmi z czasem najeść przyjdzie. Sztuka będzie uchodziła póty, póki dzieciak nieletni. Nie przeczę ja, że mu przez ten czas potraficie zaleźć za skórę, bo widzę, że wam wasza uczciwość na to pozwoli, ale nie bójcie się! Jak on do lat dojdzie, znajdą się doradcy, co mu oczy otworzą jeśli nie z dobrego serca, to przynajmniej wam, na psotę, a wtedy przekonacie się, że to niedosyć paskudztwo zrobić, żeby z niego korzystać.

— Ja tam o tem nic nie wiem — bąknął Filip, ale mu zaczynało być niemiłem, że ta cała robota może być bezpożyteczna, a widząc przed sobą sędziego surowego a bez władzy, stawał się czupurniejszym, bo rozumiał przecie, że mu pokora nic tutaj nie da.

— Jakto nie wiesz? Wszystko wiesz, i wszystkoś robił ty. Doradzałeś, woziłeś Jaśka do tego jakiegoś obwiesia adwokata, i tameście a nie gdzieindziej całą plantę ułożyli. Cóż ty myślisz, że to tajemnica?

— A to skaranie Boże—utyskiwał Filip.— Niedosyć na człowieka tyle biedy i odrywki od roboty, żeby jeszcze taką nagrodę mieć za wszystko Nałożą podatek—sołtys winien, bo go ściąga, i przez wieś mu jeden i drugi głupiec przejść spokojnie nie da; zawali się most, niech Pan Bóg broni, żebyś do dworu po drzewo poszedł, bo ci dobrego słowa nie dadzą; padnie bydlę jakie, wyprzęgaj swoje konie z roboty, jedź po weteryniarza czy dochtora; chce kto spisać kopjom kontraktu, świadkuj mu przy tem, boby taka kopija nie była ważna—wszystko na twojej głowie i na twojem chłopotaniu. A mnie co potem! I tego honoru, i tego chłopotania nie potrzebuję. Ot i teraz nie wiedzieć za co obcenserował mnie ktoś tutaj, i jaka mnie praga wysłuchiwać tego za ten wiatr co wieje.

— Nie kręć; o twoim urzędzie i o twoich godnościach nie opowiadaj mnie, bo ja tego nieciekawy, a zresztą wiem, że to tylko taki wasz sposób uchylenia się od odpowiedzi, kiedy do ściany przycierają. Ja tobie o sasie—ty mnie o lasie...

— Ja też tu do żadnego porachunku nie przyszedłem, a i... pan ksiądz niepotrzebuje się opiekunem obierać nad tym przybłędą, bo on opiekę ma jak się patrzy, a jakby se miał krzywdować na nią, to będzie wiedział, gdzie iść na użalenie, i pewnikiem tutaj nie trafi, boby mu się to nie na wiele przydało. Padam do nóg w-mu proboszczowi...

— Oh... oh!—powtórzył sobie w kilku modulacyach proboszcz zdziwiony. — To prędko z nimi teraz idzie! Żeby młody był, nie dziwiłbym się wcale, ale to niby ze starszych ludzi. Ha! widać inaczej być nie może. A tymczasem, że go obedrą, to wątpliwości niepodlega. Szkoda!

Szkoda było w istocie, ale że na nią w zakresie dogorywających wpływów proboszcza, środka zaradczego szukać nie należało—to nie podlegało także wątpliwości żadnej.

Jednem słowem dobre intencye księdza nietylko że doli sierocej w niczem nie ulżyły, ale przeciwny wręcz sprowadziły rezultat. Marek, który był ciężarem tylko, teraz zaczynał być wrogiem. Będą się nad nim użalać, będą mu kłaść w uszy, i Bóg wie jeszcze, co za lat kilka być może. Jakoś to się tak przedstawiało teraz, że tą sukmaną i tym ciepłym kątem trudno się będzie pokwitować z „naznakowanym." Wahał się też Filip czas jakiś, czy dać Jaśkowi córkę czy nie, ale raz że się już rozniosło o tem małżeństwie, a przytem, że ilość znalezionych pieniędzy nieprzestawała, biorąc miarę z buty Jaśka, przedstawiać się imponująco jego przyszłemu teściowi, więc do zerwania nie doszło. Owszem, w zapusty pobrali się młodzi, siostrę zaręczono w sąsiedniej wiosce z synem gospodarskim, pozostał tedy tylko ten Marek, który sam jeden o swoich prawach, i o tem, jakiej niechęci był przedmiotem, najmniej ze wsi całej wiedział z pewnością. W domu robił co mu kazano; posłał go Jasiek do roboty dworskiej, to szedł chętnie; posłał po wypłatę w Niedzielę, to przyniósł pieniądze wszystkie, nie upominając się dla siebie o cząstkę choćby najmniejszą, bo przecież nie inaczej tylko tak powinien był zachowywać się taki, którego wszyscy jednozgodnie głupim Markiem nazywali.

Byli jednakże rówiennicy, którzy na osobności dawali mu nauki, tacy mianowicie, dla których gotowy grosz w ręku takiego ciemięgi, jako pewna prawie zdobycz się przedstawiał. Ci podczas śniadań i podwieczorków, albo kiedy po kolacyi w porze letniej konie na pastwisku razem pasali, szeptali mu:

— Oj, Marek, Marek! — żebyś ty taki durny nie był jak jesteś, to tybyś mógł pieniędzmi pobrzękiwać tak, żeby się wszystkie dziewuchy za tobą oglądały.

Chłopak uśmiechał się głupowato i przekręcał czapkę z fantazyą, bo mu to pochlebiało bardzo, ale zapytać o wykonanie samo tego zalecenia, nie przychodziło mu do głowy. Po prostu odsuniętemu i upośledzonemu wystarczało przypuszczenie samo, że gdyby chciał, toby mógł. Zrealizowanie dorady natomiast wymagające pewnego natężenia myśli i woli, mglisto majaczyło w jego mózgownicy. Łatwiej było daleko nabić mu w głowę pewne pożądania określone pod postacią jakiegoś pasa jaskrawego, jakichś butów długich, które u kogoś zobaczył, a do których posiadania rozgorzał odrazu; w takim razie naprzykrzać się o nie potrafił starszemu bratu aż do znudzenia. Jasiek miał znowu tę przebiegłość, prostym a niepoczciwie wyrachowanym naturom właściwą, że do ostateczności odmową doprowadzić go nie chciał, przeczuwając, żeby mu to na dobre nie wyszło, a gdy przychodziło uledz żądaniu, ulegał, ale zawsze w taki sposób, żeby on to koniecznie wziąść musiał za wyświadczoną łaskę, a nie za to, co mu się wedle prawa i słuszności należało. Jednem słowem starał się wiele tylko mógł utrzymać go w zależności, i nie dopuszczać do zbyt wygórowanych uroszczeń.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Ś. † P.

Ksiądz Franciszek Krupiński.

W połowie bieżącego miesiąca zmarł w mieście naszem ten powszechnie ceniony duchowny, mąż nauki, pedagog i kaznodzieja.

Urodzony w Łukowie w roku 1836, w wieku lat 16 wstąpił do zgromadzenia księży Pijarów w Opolu, a po przejściu nowicyatu do akademii duchownej w Warszawie, w której pozostawał do r. 1858. Po kasacyi ostatecznej zakonu pozostał rektorem kościoła po-Pijarskiego, w którym gromadził tłum wybranej publiczności, umiejącej ocenić jak należy jego nauki, przynoszące niezaprzeczony zaszczyt kazalnicy naszej.

Prace literackie zmarłego kapłana zaledwie poruszyć nam wolno, na tej kartce treściwego pośmiertnego wspomnienia. Nadmienimy tylko, że bogaty umysł ten szukał dla siebie pola w dziedzinie poważnych studyów filozoficznych, i że to co w tej materyi drukiem ogłosił, zjednało mu ogólne uznanie ludzi nauki. Wielka i wielostronna czynność ś. p. księdza Krupińskiego pociągnęła go i do pracy publicystycznej także, czego ślady znajdujemy w „Bibliotece Warszawskiej," „Tygodniku Illustrowanym" i nakoniec „Gazecie Warszawskiej," w której między 1865 a 1870 rokiem zajmował stanowisko główne, prowadząc dział artykułów wstępnych. Jak twierdzą świadomi rzeczy, oddawna już przygotowywał uczony nasz kapłan zbiorowe wydanie prac swoich; niedoszło do skutku z przyczyny długiej i ciężkiej choroby ostatniej, przedsięwzięcie to, żywić należy nadzieję, podjętem będzie przez grono ludzi, którzy działalność pisarską księdza Franciszka Krupińskiego wysoko stawiają, zwłaszcza, że w tym zbiorze mieścić się ma wiele prac zupełnie ogółowi naszemu nieznanych.

Zdumiewającem jest, że przy tak rozgałęzionym trudzie znaleźć można w tem życiu jedną jeszcze kartę, a karta to z pewnością, która temu mężowi wyjątkowej wartości, jeden więcej tytuł do wdzięczności ze strony społeczeństwa naszego zjednała. Mamy tu na myśli pracę pedagogiczną. Długoletnie nauczanie religii w szkołach naszych, jeśli z jednej strony dowodzi wielkiej gorliwości obywatelskiej o dobro pokoleń dorastających—z drugiej świadczy wymownie o talencie popularyzatorskim, który z takich darów umysłu zapatrzonego w najwyższe zagadnienia ludzkości, zdołał uszczknąć to, co się na pożytek rozwijających umysłów przystosować dało. I tutaj niepoślednią okazała się działalność jego. Ksiądz Franciszek Krupiński pozostawia wielką liczbę entuzyastycznych wielbicieli między ludźmi dojrzałymi dzisiaj wiekiem, a niegdyś uczniami swoimi.

Zmarł przedwcześnie dla społeczności swojej, której mógł i rad był służyć do ostatniego tchnienia, dzięki potężnej miłości, jaką dla niej nosił w szlachetnem sercu swojem. Zabiera ze sobą żal i cześć powszechną oświeconego ogółu naszego. Zakon do którego się liczył ma w nim ostatniego, a świetnego przedstawiciela, jakich wielu w gronie swojem mieścił w rozmaitych epokach dziejów naszych.

Dwudziestopięciolecie.

W roku 1898 przypadł obchód dwudziestopięcioletniego istnienia pierwszego u nas w kraju zakładu hydropatycznego, powstałego za inicyatywą dr. Jana Bielińskiego w Nowem Mieście nad Pilicą.

O ile do dzieł ręki ludzkiej przystosować się daje wyrażenie o stworzeniu czegoś z niczego — o ile przedsięwzięcie poczęte z myślą dobra ogólnego prowadzone być może bez zejścia do poziomu przedsiębiorstwa—o ile siła pojedynczego człowieka oparta na wiedzy i podtrzymywana głębokiem przekonaniem o owocności metody naukowej, dokazać może w takim dwudziestoletnim okresie czasu, o tyle twórca i kierownik tej instytucyi powiedzieć ma o sobie niezaprzeczone prawo, że stworzył—prowadził i dokazał.

Leczenie naturalne bardzo już rozpowszechnione zagranicą w drugiej połowie naszego stulecia, przed dwudziestu pięciu laty nie miało w kraju naszym nietylko prawa obywatelstwa, ale nawet spotykało się z powszechną niemal niewiarą. Niekrytyczne legendy rozsiewane o cudownych Priesnitzowskich uzdrowieniach już przebrzmiały od lat kilkunastu, a o hydroterapii, o leczeniu na ścisłej metodzie naukowej opartem, zaledwie najoświeceńsza część społeczności miała jakie takie pojęcie. Zakład Nowomiejski pierwszy torować począł drogę, pierwszy zwalczał wierzenia przesądne, uprzedzenia nieuzasadnione, a także i niechęci, w które niestety tak chojną jest ta cała część społeczności, co nie czując się zdolną ani do inicyatywy ani do wytrwania, cudzą inicyatywę i cudzą wytrwałość zawsze obniżać i podkopywać jest gotowa.

Tymczasem tym właśnie dwóm czynnikom i tylko im wyłącznie, zawdzięcza zakład Nowomiejski powstanie swoje i dwudziestopięcioletnią swoją działalność. Włożona weń praca całego życia bardzo wybitnej indywidualności lekarskiej założyciela pogodzić winna, uspokoić i podtrzymać na drodze twardego obowiązku tych wszystkich, którym w walce życiowej ciężkiej i wyczerpującej mdleją siły i opadają ramiona. Instytucya ta będzie mieć niewątpliwie z czasem swoją historyę drobiazgową bardzo, na którą zasłużyła sobie z największą pewnością zarówno z lekarskiego, jak i ogólno ludzkiego punktu zapatrywania.

Politechnika.

Sformowanym już został wykaz zakładów naukowych, których wychowańcy *stanowczo nie będą* dopuszczeni do egzaminów konkursowych, a tem samem przyjęci do politechniki. Do tych należą:

a) szkoły handlowe odeskie cesarza Mikołaja I go i Fejga, b) moskiewska szkoła techniczna komisarowska—c) kursa geometrów instytutu mierniczego konstantynowskiego w Moskwie — d) średnie szkoły techniczne prywatne, choćby te korzystały z praw przysługujących średnim szkołom technicznym rządowym—e) szkoły techniczne ministeryum marynarki w Kronsztadzie — f) seminarya duchowne wyznania prawosławnego — g) eksterni t. j. abiturienci z edukacyi prywatnej, którzy zdali egzaminy na patenty z kursów prywatnych: morskiego i kadeckich, oraz gimnazyów klasycznych bez języków starożytnych.

Komissya egzaminacyjna utworzona będzie z nauczycieli gimnazyów warszawskich w ciągu bieżącego tygodnia. Do dnia dzisiejszego złożono podań o przyjęcie przeszło 500. Z liczby wszystkich kandydatów tylko 10 przyjętych być może bez egzaminu, reszta przyjętą będzie na podstawie wyniku egzaminów konkursowych.

Zabawy ludowe.

Jak nie można lepiej powiodły się, a przeto i zupełnie zadawalniający rezultat materyalny dały trzy w ciągu miesiąca Sierpnia urządzone w parku Pragskim zabawy ludowe. To też zachęcony tem komitet zapowiada jeszcze czwartą w nadchodzącą niedzielę. To wszystko, pomimo niebardzo ludowych cen wejścia i wcale nie ludowej taksy napojów i przekąsek, dowodzi z jednej strony, że ochoczość do zabawy jest niepowszednia, i co ważniejsza, że rozmaite opowieści o wyzysku u nas pracy, o przygnębieniu materyalnem i t. p., i t. p. są bardzo przesadzone. Gdyby ci ludzie byli nie powiemy dotknięci brakiem, ale zatroskani o jutro, nie spieszyłyby ich takie tłumy, że aż Warszawa w pozostałych dzielnicach wygląda w te dni na miasto wyludnione. Z tej strony zatem uspokojeni być możemy, a i to jest bardzo wiele na te czasy ciężkie.

Program zabawy wypełnia: cynematograf, jednoaktówki, popisy prestidigitatorskie, kolejka jednotorowa, wdrapywanie się na słupy, wyścigi w workach, chuśtawki, karuzele, pochód wieczorem ze świecami, z muzyką na czele, wraz z gaszeniem i zapalaniem świeczek, bardzo zabawnem podobno.

Był też i odczyt o potrzebie przestrzegania czystości ciała.

Zdrowie publiczne.

Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła podany projekt nowego pawilonu dla chorych nerwowych przy szpitalu św. Jana Bożego. Koszt tego pawilonu wyniesie około 40,000 rs.

W przytułku dla obłąkanych w Górze Kalwaryi ustanowiona będzie oddzielna służba dla opieki nad małoletnimi pozostającymi na pensyonacie w zakładzie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-ny Żoch. w Białej Cerkwi. Żądaniu zadosyćuczyniono.

Abonentce z Horynia. Wielebny ksiądz Rejman przełożony Zgromadzenia OO. Paulinów na Jasnej Górze. W Częstochowie (gubernia Piotrkowska.)

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH *Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.* 916—25—7

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego
b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye. Ceny przystępne. 912—12—8

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ROBERT WILCZYŃSKI
810—50—28 ceny możliwie umiarkowane. LESZNO Nr. 12.

A La Parisienne
Szkoła Kroju i Szycia
oraz
Pracownia Sukien
EMILII EHRENKREUTZ
uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona Medalem na konkursie krawców w Paryżu za Krój bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.
Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.
929—20—2

w VI-klasowem
Progimnazyum Żeńskiem
z Pensyonatem i klasą przygotowawczą
S. TOŁWIŃSKIEJ
Chmielna 48, w Warszawie
zapis uczennic rozpoczyna się 20 sierpnia egzamina 1 i 2 Września — lekcye 3 Września. 930—3—2


Specyalna reperacya
i pokrycie parasoli tanio
Ordynacka Nr. 15.
WILHELM SCHESZ.
931—6—3

NOWO OTWORZONY MAGAZYN MEBLI
F. OLSZEWSKIEGO
w Warszawie, Królewska № 9, parter wejście z bramy 5 dom od Krak. Przedm
POLECA:
Meble stolarskie solidnej roboty z gwarancyą piśmienną dwuletnią za pęknięcie.
Meble tapicerskie, bambusowe, **Dywany, Portjery, Serwety, Materace, Łóżka** żelazne **Wózki, Wanny** etc.
Ceny **nizkie** stale oznaczone na każdym przedmiocie 921-12-5
Ekspedycya na prowincyę z opakowaniem.
Magazyn przyjmuje zamówienia na kompletne urządzenie całych mieszkań.

---

od rs. 125 **ROWERY DAMSKIE** *od rs. 125*
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—10 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

FABRYKA PAROWA
Czekolady, Cukrów, Biszkoptów i Marmelady
A. SIOU & C° W MOSKWIE
Egzystująca od roku 1855.
Nagrodzona na wielu wystawach w Cesarstwie i zagranicą najwyższemi nagrodami.
Poleca Biszkopty nie ustępujące w niczem najlepszym oryginalnym francuzkim, Kakao w proszku, dorównywające najlepszym markom holenderskim, wyborową Czekoladę, Cukry desserowe, Fruits glacé, oraz Marmelady, Paty i konfitury w różnych gatunkach.
Upraszam Sz. Publiczność o baczne zwracanie uwagi na etykietę naszą
C. Siou & Co.
zamieszczaną na wszystkich wyrobach naszych, które są do nabycia we wszystkich Handlach Win, Towarów Kolonialnych i Delikatesów w Warszawie i na prowincyi.
Amatorom dobrej kawy polecamy naszą kawę paloną na nowy sposób patentowany „Le Turc de Rose" w różnych gatunkach, tak w ziarnach jako też i mieloną.
Reprezentant na Królestwo Polskie, gubernie: Grodzieńską i Kowieńską
F. HASSENBERG
Warszawa, ul. Wspólna Nr. 15.
949—3—1

SPECYALNIE NA PODARUNKI
Elegancki, złoty matowy garnitur 56 próby,
złożony z **bransolety, pierścienia, pary kolczyków i broszy, kameryzowanych,** t. j. osypanych dokoła paryskimi imitacyjnemi brylantami, **z prawdziwym ametystem** pośrodku

tylko za 25 rs. 50 kop.
Na życzenie zamawiającego można nabywać i pojedyncze przedmioty, jak również - niekameryzowane.
Wysyła się w eleganckiem pudełku atłasowem po otrzymaniu 2 rs zadatku.
Adres: *Pracownia wyrobów złotych.* **M. GOLDENBERG** *w Warszawie, Graniczna 9.*
Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-3

GEBETHNER i WOLFF
17. Krakowskie-Przedmieście 17.
864 50—17 **NAJWIĘKSZY W KRAJU**
Skład Fortepianów
Pianin i Organów

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-3
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Przełożona Pensyi 3-y Klasowej Żeńskiej
z Klasą wstępną
na PRADZE, przy ulicy Targowej Nr 45,
ZOFIA ŁABUSIEWICZ
zawiadamia, iż zapisy uczennic tak przychodnich jak pensyonarek, na warunkach przystępnych, odbywać się będą od dnia 10 sierpnia od 2 do 6-ej. 940—6-3

SPRZEDAŻ MASZYN DO SZYCIA
ulepszonego systemu SINGERA
na rozpłaty tygodniowe, za gotówkę 15% rab.
Józef RABINOWICZ
Leszno Nr. 24, m. 6. 821—25—13

Skład aparatów i potrzeb do fotografii
P. LEBIEDZIŃSKIEGO

Krak.-Przedm. Nr. 65. Warszawa. Krak.-Przedm. Nr. 65.
POLECA: Aparaty fotograficzne ręczne najnowszej konstrukcyi od rs. 6 do rs. 200. Aparaty fotograficzne podróżne. Klisze, papiery fotograficzne chemikalja i wszelkie potrzeby do fotografii.
Towar tylko wyborowy.
Cennik illustrowany na rok 1898 gratis i franco.
Pozostałe z zeszłorocznego sezonu: Aparaty fotograficzne nowe i używane, klisze, papiery i inne przedmioty—wyprzedają się z ustępstwem 30 — 50%
847—12—10

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
MARYI MACIEJOWSKIEJ
System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie *Patenty cechowe.* Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.
NOWY-SWIAT 56, m. 5. 934 -12-2

Marszałkowska 149. 922-12-6 **MAGAZYN MEBLI MAKSYMILIANA KALMUS.** *Marszałkowska 149.*

APTEKA K. WENDY 45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.
873-18-16 Istniejąca od czasów elektorów saskich.
Wody mineralne wszelkich źródeł naturalne i sztuczne.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Августа 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Możemy być spokojni — wtrącił Szambelan — reforma, jaką nam pan Poraj zagraża, zapewne nie za naszych czasów się dopełni. Nie przewiduję usposobień przyszłego pokolenia; co do naszego jednak, zaręczam, że woli ono poprzestać na tych kobietach, jakie dziś uwielbiamy. Za kilka wieków może się odmienić; młode i piękne kobiety z zapałem może zechcą szperać w zapleśniałych szpargałach, lub marszczyć zawczasu gładkie lica trudem matematycznych wyrachowań. Nie pojmuję atoli, jak potrafią zasmakować w tem rzemiośle sawantek, które dziś, po większej części, stanowi ucieczkę upośledzonej od natury, niezamężnej szpetności, lub pokrywa nieszczęsny popęd do politycznych intryg.

— Prawda, święta prawda! — zawołał Sokolnik. Od powietrza, głodu, ognia, wojny i nadto mądrych kobiet, wybaw nas Panie.

— Jestto modlitwa — mówił dalej Niemiec, którą, nie pamiętam w jakiej okoliczności, słyszałem z ust samego księcia kanclerza. Rzecz niezaprzeczona, że wielcy ludzie stanu nie cierpią tego rodzaju stworzeń. Przypomina mi to pewien nieoceniony dowcip księcia Tayllerand‌a.

— Słuchamy, słuchamy!—wykrzyknęli jednocześnie gospodarz domu i kapelan.

— Znajome są państwu paroksyzmy miłości własnej i szczególniejszej dumy, w jakie często wpadała pani Stael. Mądra baronowa myślała, że świat cały powinien był oddychać uwielbieniem dla jej pisarskiego geniuszu. Najznakomitsi ludzie, w porównaniu z nią, podrzędną tylko mieli wartość. Pewnego wieczora, na balu, Korynna i pani Recamier postanowiły wprawić w kłopot księcia Tayllerand‌a i zadać fałsz powszechnie uznanej sławie co do jego przytomności umysłu.

— Mości książę — rzekła pani Stael, zatrzymując się przed nim z piękną niegdyś swą towarzyszką, gdybyśmy obie tonęły, którąbyś z nas wprzódy ratował?

— Myślałem — odparł minister — że pani umiesz pływać.

— Przedziwnie! wyśmienicie! — wołał Sokolnik, zanosząc się od śmiechu. Kapelan i hrabina spoglądali po sobie i z podziwieniem trzęśli głowami.

Szambelan zatrząsnął anegdotą dalszą rozmowę o sztuce i o kobietach, nastąpiła chwila milczenia, w której każdy z wyrzeczonych słów wyciągał własne wnioski. Sokolnik z przyjemnością przeżuwał dowcip ex biskupa z Autun, sznurkował po pamięci szukając wydarzenia odpowiedniego przypowieści Szambelana, gdy wtem nowa okoliczność w całkiem przeciwną stronę popchnęła kierunek jego myśli.

W prawym rogu dziedzińca, tuż za bramą, zatrzymała się bryczka.

Magnat przymrużył oczy, postąpił ku oknu i poznał niecierpliwie oczekiwanego rządcę.

Przeszedł się wolnym krokiem kilka razy po salonie, i nieznacznie wysunął do swego gabinetu.

Rządca stał przy drzwiach wyciągnięty jak struna.

— Od dwóch dni, panie Lumpman — rzekł zgryźliwie dygnitarz, na ciężką próbę wystawiasz moją cierpliwość. Wszakże onegdaj jeszcze obiecywałeś stawić się z powrotem. Pieniądze są?...

— Nie wszystkie, JW. Grafie. Pomimo usilnych zabiegów i szczerej chęci samychże urzędników, sprawa inaczej poszła, aniżeli mieliśmy prawo spodziewać się i wymagać.

— Ile z sobą przywiozłeś?

— Ledwo trzysta dukatów wykołatałem.

— Trzysta dukatów!... oszalałeś!... cóż chcesz, abym z niemi począł?

— Wiem, że dla JW. Grafa jestto fraszka, ale targować się było niepodobna. Rząd nagle kazał wstrzymać chłopom zapomogi. Snać w skarbie nawet cesarskim zabrakło pieniędzy. Mówią, że sam Najjaśniejszy Pan w Wiedniu nie może nastarczyć wydatkom.

— Brednie mi Acan prawisz; głupstwa pleciesz! Najjaśniejszy Pan szczęśliwszy odemnie, z uczciwszymi ludźmi ma do czynienia. Nie, nie, — w tem wszystkiem są jakieś plątaniny, które w ciasnej mojej głowie w żaden sposób nie dadzą się pomieścić. Rząd bez pieniędzy! panowie bez kredytu! Na honor, świat się do góry nogami przewraca.

— Ciężkie czasy, JW. Grafie! Od maleńkiego dziecka nie pamiętam trudniejszych na gotówkę.

— Stara piosenka ludzi, którzy jej szukać nie umieją! Cóż Acanu mówił gubernialny komisarz? jak tłumaczyli się urzędnicy? wspominałżeś, że potrafię im buty uszyć w Wiedniu? Kradzież, niegodziwa kradzież!... rozbój na publicznej drodze! Jakto! nieurodzaj ogołaca nas ze zboża, zaraza wybija bydło; chłop niema czem zaorać ani zasiać. Rząd grosza nie opuszcza z podatków; po długich ceregielach przyznaje wreszcie zapomogi. My jak głupcy, w zaufaniu rządowemu słowu zakładamy ręce za pas, stawiamy się na wyznaczoną porę, i w ostatni dzień, gdy już zapóźno szukać gdzieindziej ratunku, dowiadujemy się, że rząd cofa trzy czwarte pożyczki! Próżno! nikt nie wytłumaczy, żeby to był czysty interes! Dalżeś Acan do zrozumienia komisarzowi, że ja darmo od nikogo nie przyjmuję usług?

— Znają oni wszyscy pańską wspaniałość, tym razem atoli dobre ich chęci na nic się nie przydały. Sekretarz pokazywał mi rozporządzenie podpisane własną ręką ministra. Nie zaniedbałem żadnego sposobu. JW. Graf może być przekonany, że ludzką siłą szeląga jednego więcej niepodobna było uzyskać. Co administracya, to nie sądownictwo. W gubernium, wszystkich urzędników mamy za sobą. Gdybyśmy choć jednego, równie przychylnego mieli w sądownictwie, byłbym z lepszemi nowinami wczora jeszcze powrócił.

— W sądownictwie powiadasz? Cóżeś Acan tam robił; sprawa nasza nie ma z sądem żadnego stosunku?

Lumpman widocznie zakłopotany; wyłamywał za plecami palce ze stawów, przestępował z nogi na nogę, nie wiedział jak zacząć.

— Gadajże Acan! co znaczy ta nowa niespodzianka? Co nasze interesa mają wspólnego ze sprawiedliwością?

— JW. Grafie, mam przy trybunale dawnego przyjaciela, woźnego, do którego zwykle zajeżdżam. Człek zacny i nie w ciemię bity.

— Co mi do Acana przyjaciół?

Zaledwom zsiadł z bryczki, woźny Hochstimm wziął mnie pod rękę i wyprowadził na miasto. Pani Hochstimmowa była w domu; nie chciał przy niej ze mną rozmawiać.

— I cóż ci powiedział?

— Powiedział, że od początku miesiąca wedle tego, co mu doniesiono ze Lwowa, co dnia nowy jakiś ciekawiec przychodzi do trybunału i szpera w naszych księgach hypotecznych.

— Trzeba mu było opowiedzieć, że błazen ze swojemi nowinami. Albożnam wolno trzymać pod kluczem nasze hypoteczne księgi? Czyliż dzięki bezrozumnym, a Bóg widzi, że nie przezemnie ukutym rozporządzeniom, pierwszy lepszy szubrawiec nie ma prawa wścibiać nosa w nasze interesa?

— Tęż samą uwagę uczyniłem Hochstimmowi, ale nie na tem koniec.

— Cóż dalej?

— Woźny uprzedził mnie, że od dwóch dni złożono przeciw nam siedm pozwów.

Lumpman rzuciwszy iskrę na prochy, nabrał ślepej odwagi pierzchliwców; sądził, że lepiej odrazu cały podkop w powietrze wysadzić, niż co chwila kaleczyć się drobnymi wybuchy.

Skorzystał więc z przelotnego osłupienia, w jakie wprawiła dygnitarza niespodziewana nowina, przymrużył oczy, i jak gdyby kto w nim poruszył ukrytą sprężynę, z nadzwyczajną szybkością jął prawić:

— Tak jest JW. Grafie, siedm pozwów w jednym tygodniu—ani mniej, ani więcej.

Pierwszy o dwa tysiące dukatów za niedostawienie zapłaconej pszenicy Ickowi Gewissloz. Żyd korzysta nikczemnie z naszej pomyłki. Przeszłego roku, tegoż samego niemal dnia, JW. Graf we Lwowie, ja zaś na wsi, sprzedaliśmy dwom kupcom też samą pszenicę.

Drugi, o jedenaście tysięcy złotych, za brak próby w okowicie odwiezionej temu dwa miesiące Abrahamowi Durstgeld. Fałsz niegodziwy JW. Grafie! Łotr sam dolał do kuf wody. Okowita była wyborna; mogliśmy śmiało sprzedać ją aptekarzom na alkohol.

Trzeci, za podwojenie od roku mieszczanom czynszu. JW. Graf zepsuł tę hołotę niesły-

chaną dobrocią. Dziś, pozywający dowodzą, że od stu lat płacą jednakowe czynsze. Prawda — ależ od tego czasu podwoiła się wartość ziemi; ówczesną złotówkę można dziś kupić za półzłotek.

Czwarty, za dwanaście tysięcy reńskich, niezapłaconych Wucherzwejgowi. Rewers wyraźny; nikt mu go nie zapiera, hultaj atoli od dwóch lat już czeka, może śmiało trzeci jeszcze rok zaczekać.

Piąty, bagatela! Idzie o czterysta dukatów zaległych od pięciu lat procentów z summy małoletnich Sobaczyńskich. Tak, to przeklęte plemię odwdzięcza doznane dobrodziejstwa. JW. Graf raczył przyjąć summę ich na własną hypotekę, dziś opieka płaci mu za to pozwem.

Szósty, ze szlachtą z Zarębowa o zajęte bydło i o łąkę. Hultajstwo to dopomina się o prawo wypasania pańskiego siana i zboża. Trzeba wszystkich z torbami wyprawić, inaczej od Zarębowskiej granicy nigdy nie będziemy spokojni.

Siódmy nareszcie, kryminalny, o rozjecha nie podczas ostatnich zapust we Lwowie, dziecka siodlarza Darzyńskiego. Któż temu winien, że furman JW. Grafa zalewa się gorzałką? Czemu nakoniec matka lepiej nie pilnuje? dobrze jej tak! na drugi raz będzie uważniejszą.

Ostatnia sprawa będzie najłatwiejsza do załagodzenia; z pierwszemi trudno będzie się uwinąć. Sto siedm tysięcy złotych do wypłacenia na kontrakta! od dziś za sześć niedziel! jak gdyby skarb pański oprócz podatków, nie miał innych wierzytelności i ciężarów.

Biegałem do Durstgelda i do Wucherzwejga; wysyłałem woźnego na zwiady do Gewisloza i do opieki małoletnich Sobaczyńskich. Żydzi, widno, porozumieli się z sobą, żaden nie chciał ze mną gadać. Hochstimm również nic nie mógł wskórać. Co gorsza, że dwóch adwokatów oddawna nam niechętnych, podjęło się wszystkich siedmiu processów. Oba młodzi ludzie, na dorobku, niepodobna się odzywać do nich zwykłym językiem.

— Całe piekło na mnie się sprzysięgło! Codzień nowa litanja kłopotów! Widziałeś Acan naszego adwokata?... co ci powiedział? Idzie o czas, o zwłokę; z każdym pojedyńczo damy sobie radę, ze wszystkimi razem, twardy orzech do zgryzienia.

— Adwokat obiecuje pociągnąć procesa, ale zawczasu grozi ogromnymi kosztami.

— Zapewne! syp im pieniędzmi na to, abyś później przegrał sprawę. Dość tego, ruszaj Acan do gospodarstwa. Pięknego przywiozłeś mi gościńca; łamże teraz nad nim głowę. Tymczasem bądź w pogotowiu; jutro albo pojutrze wyślę cię do Lwowa.

Lumpman skłonił się głęboko. — Dotknij niedźwiedzia gałązką, mruczy; zwal go pałką— milczy — myślał sam w sobie zdziwiony łagodnością skutków, jakie nań ściągnęły przerażające dla magnata nowiny. Nie zwykły, tego ostatniego w podobnych okolicznościach, spokój, a może nawet i hart duszy—energja, wielce go zastanowiły.

Lumpman się mylił.

Sokolnik zostawszy sam; splótł ręce, wzrok wbił w ziemię, twarz w sieć zmarszczek pokrajał.

W głowie mu się kręciło; widział przed sobą zionącą przepaść. Siedm procesów wymienionych przez Lumpmana, stanowiło przednią straż nawałnicy ważniejszych klęsk.

Wymagalne każdego czasu roszczenia bankiera Dalmana, kilkakrotnie przewyższały wierzytelności natarczywych synów Izraela. Rewersa były w porządku, sprawa musiała być przegraną. Wprawdzie procedura austrjacka podawała wszelką łatwość wleczenia procesu, fortel atoli wymagał znacznych, natychmiastowych kosztów.

Ogołocony z kredytu i z dochodów, Sokolnik w płomienistych głoskach spostrzegał w przyszłości, wyraz: Wywłaszczenie!

Wywłaszczenie! zaguba domu — haniebne ubóstwo — starość o żebranym chlebie!

Hamletowe *być albo nie być*, postradało już stronę wątpliwą; kładka pierwszej alternaty wypękała mu pod nogami. Między bytem bez majątku, a niebytem nie widział żadnej różnicy.

Bezwiednie roztworzył kalendarz i wsparł palec na 24-ym Czerwca, na strasznej epoce kontraktów. Kilka zaledwie kratek, każda po siedm dni przedzielało go od fatalnego terminu. Schwycił się za puls, rachował ile mu chwil pozostawało do życia.

— Jeszcze kilka tygodni, jeszcze kilkadziesiąt dni! mówił sam do siebie zadyszanym głosem, a w gruzy runie jedna z pierwszych rodzin Cesarstwa. Żyd będzie wytrząsał na licytacyi moje ruchomości, sprzęty, obrazy. Nieprzyjaciele, zawistni, przyklasną zagubie, hołota, która dziś w proch się przedemną ściele, utro błotem mnie obrzuci. W Wiedniu o mnie zapomną, wyprą się znajomości, będą stronić jak od zapowietrzonego. Nie, nie—choćby same piekło przyszło do dna poruszyć, nie dopuszczę tej sromoty!

— Ale gdzie rada, gdzie sposób? Bóg mnie cudem nie wyratuje, dyabeł o mnie zapomniał!

Sokolnik jął dzwonić palcami w szybę i wodził do koła obłąkanym wzrokiem. Czarna postać mignęła mu przed oczyma. Ocknął się, zapukał i na pół wycieńczony padł w szerokie krzesło.

— Słuchaj mnie, księże kapelanie — rzekł do wchodzącego; wiesz, że dla ciebie nie mam tajemnic; uważam cię za jedynego przyjaciela całej mojej rodziny. W przykrych okolicznościach, w jakich się znajduję, nie mogę do kogo innego stosowniej udać się po radę. Krótkiemi słowy wszystko ci opowiem. Pamiętasz, w jakim stanie po ś. p. ojcu moim kasztelanie objąłem majątek. Czasy były ciężkie i odtąd wcale nie zelżały. Dziś, kontrakty wiszą mi nad głową. Mam około trzydziestu tysięcy dukatów do wypłacenia. Sprawy tak powikłane, że o układach z wierzycielami, o zwłoce, marzyć nawet niepodobna. Jeżeli nie zapłacę, sprzedadzą mi majątek, na zapłacenie zaś nie mam grosza funduszów, nie mam iskierki nadziei kredytu.

— Cóż ty na to księże?... uśmiechasz się?... bawię cię drogim kosztem!

— To, co pan hrabia powiada, zdaje się mi tak niepodobnem do uwierzenia...

— Trzeba widzę najazdu komorników, aby cię przekonać. Powtarzam; trzydzieści tysięcy dukatów mam do wypłaty.

— Trudna rada, trzeba je wypłacić. Nie masz pan hrabia pieniędzy — trzeba ich dostać; nie ma kredytu — trzeba go wynaleźć. Wierzyciele, dziś nie chcą czekać, jutro niech obaczą gotówkę, na kolanach będą się dopraszać o łaskę zostawienia summ na hypotece.

— Prawisz księże jak z ambony, ale dotąd nie odpowiadasz na główne zapytanie: gdzie dostać pieniędzy? Co do mnie, przyznaję, że nie widzę żadnego podobieństwa...

— A jednak pan hrabia nie wahasz się przypuszczać rzeczy daleko więcej niepodobnych. Wywłaszczenie! Sprzedaż majątku! Przez Boga żywego dajmy pokój tym odwoływaniom się do lepszej przeszłości! Dla hołyszów czasy zawsze były, są, i będą ciężkie, ale szczupak z łatwością przebija matnie, gdzie płotki więzną.

— Słowa, czcze słowa księże! Do rzeczy, na miłość boską do rzeczy! Staremi przysłowiami nie wydźwigniesz mnie z kłopotu. Trzeba pomyśleć!... myśl!

Kapelan przymrużył oczy, jak gdyby w dali na olśnionym słońcem widnokręgu wyszukiwał tajemniczych gwiazd ocalenia. Sokolnik wpatrywał się mu w oblicze, śledził poruszenie każdego muszkułu, badał niejako pełzanie mózgowych nerwów pod czaszką, oczekując chwili, w której myśl księdza spocznie na niezawodnej kotwicy ratunku.

— Pan hrabia masz licznych przyjaciół; czy pomyśliłeś o wszystkich?

— Przyjaciół do wysokości kieszeni. Niech jutro podupadnę, wszyscy mnie opuszczą?

— A między lwowskimi bankierami?

— Pierwszym z nich Dahlman, mój główny i bezwątpienia nienajcierpliwszy wierzyciel.

— W Wiedniu także nie ma komu zaufać?

— W Wiedniu nie pożyczają pieniędzy obywatelom z Galicyi.

— To źle, bardzo źle! Sprawa trudniejsza niż sądziłem?

— Sam widzisz; nie ma żadnej nadziei.

— Zwątpienie jest grzechem, przeciw któremu jako kapłan protestuję. Mamy przed sobą trudności — to prawda, alež Bóg na to dał człowiekowi rozum, aby umiał je zwyciężać.

— Mojego rozumu zapasy już wyczerpane.

— Ale moja dobra chęć nie do wyczerpania.

Kapelan, ręce w tył założył i jął przechadzać się w milczących sam z sobą monologach. Sokolnik niespokojną dłonią pochwycił kalendarz, zacisnął usta i bystrym wzrokiem przebiegał nazwiska Świętych, z których każdy zdawał się szeptać mu do ucha grobową legendę Kartuzów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5. 935-25-1

ST. PRZEZDZIECKI,

Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów *na Mazowiecką Nr. 5.*

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5.

MAGAZYN MEBLI **A. JÓZEFOWICZA** *Nowy-Świat 28* *Filia: Niecała 14* Życzącym Na **RATY.** 941—13—2



MAGAZYN
obuwia mężkiego, damskiego i dziecinnego i kaloszy
K. CHMURKOWSKI
ul. Mazowiecka N-r 6 w Warszawie.
PP. Studentom i Pensyonarkom ustępuję 5% rabatu.
942—25-2

W. KONOPACKA,

Nowogrodzka Nr 9, I piętro.
Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 766-25-25

NANON najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie. 866—13—10 NANON
D. Sukiennik
Królewska 16.

Była Nauczycielka

przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923-3-2
Fortepian na miejscu. Cena nizka.
Złota 36—33.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—5
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

W.W. Paniom

Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—7
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-3

Wincenty Węgierski

Freta Nr. 13
Długoletni współpracownik firmy
854-26-11 **B. HERSE**
otworzył pracownię
Sukien i Okryć damskich

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—2

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD
KAZIMIERY
ulica Świętokrzyzka Nr 32,
828—26—13 w Warszawie.
CENY PRZYSTĘPNE.

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
888-25-10
W. TRUSZKOWSKI
FABRYKA Krak.-Przed. 17

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25—23

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-10
polecają:
JULJUSZ HEGNER i S-ka
WARSZAWA
Plac Ś-go Aleksandra № 8.

ZAKŁAD OGRODNICZY
Zygmunta Pełczyńskiego
w Warszawie, ul. Senatorska № 12.
były pałac Blanka
Ogród ulica Szczęśliwa № 6.
Przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres ogrodnictwa wchodzące, a mianowicie: **Kosze, Bukiety, Wieńce, Żardynierki, Girlandy, Dekoracje w domach i kościołach,** i t. p. 915-12-4
Ceny przystępne.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (poczta kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.** Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **od autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. **1** kop. **20.**
SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs Niższy wyszedł z druku w 14 zeszytach, Kurs Wyższy zaś wychodzi zeszytami po kop. 10 (poczta kop. 13.) Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności** i **Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 920-11-2

Zakład naukowy 6 kl.
MARYI RAUM
przeniesiony został
na ulicę Foksal 13.
Zapis uczennic przychodnich i pensyonarek od 25 Sierpnia, kurs nauk 5 Września. 946-3-2

Ważne dla pp. Krawcowych!
Kroazy we wszystkich kolorach, Nicianki, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-20
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-35

PATENTOWANY SZYNDLERA
Biusthalter.

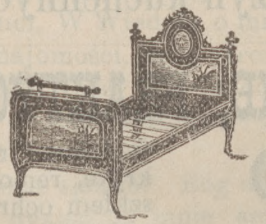


Znany we wszystkich państwach Europy i Ameryki wynalazek, nadający każdej figurze estetyczne kształty, zdobył uznanie i listy dziękczynne wszystkich, korzystających z niego pań. **Biusthalter, daje w ciągu całego dnia zupełną swobodę ruchów i dla tego też poleca się WSZYSTKIM, bez wyjątku paniom: pracującym w biurach, szkołach, handlach, gospodyniom przy domowych zajęciach, podróżującym, uprawiającym sport, jak również paniom, znajdującym się w odmiennym stanie, karmiącym piersią, a nawet cierpiącym.** Biusthalter opatentowany w 13 państwach, odznacza się eleganckiem wykonaniem z najlepszych materyałów używanych na gorsety.

CENY	AA	A	B	C	DD (jedw.)
	3.50 k.	4.50 k.	5.75 k.	6.75 k.	9.50 k.



Obstalunki detaliczne wysyłają się pocztą wszędzie za zaliczeniem z dopłatą za przesyłkę za 2 funty. Przy obstalunkach, upraszamy przysyłać miarę w centymetrach, werszkach, albo na tasiemce według rysunku:
1) **Pełny** obwód, mierząc pod pachą (wraz z plecami), od A do B. 2) **Pełny** obwód stanu od C do D i 3) wysokość boku od A do C. 775—12-10
Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo Polskie
w Warszawie, Senatorska 26.
Adres dla listów: Warszawa „SZYNDLERA BIUSTHALTER".



116. MARSZAŁKOWSKA 116.
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
SKŁAD FABRYCZNY
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie.
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 26
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka)**



ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby z **różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—20



Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d. na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczając je od moli

ZAKŁAD
Konstantego Lewandowskiego
w Warszawie, ul. Oboźna № 4.
Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości. 871—15—5

Od Administracyi Albumu Artystycznego

„PANORAMA"

Nowe wydawnictwo albumowe polskie wychodzi w Warszawie zeszytami. Całe wydawnictwo obejmie 24 zeszyty, podzielone na 4 serye.
Serya I **Nasze piękne artystki,** II **Nasi artyści,** III **Obrazy znakomitych malarzy,** IV **Piękne Polki.**
Warunki prenumeraty w Warszawie: Pojedyńczy zeszyt kop. **60,** w przedpłacie za **4** zeszyty po kop. **50** za zeszyt. *Na prowincyi:* Cena pojedynczego zeszytu kop **60** i **10** kop. za przesyłkę pocztową, w przedpłacie za **6** zeszytów rs. **3** kop. **60** wraz z przesyłką.
Wszyscy bez wyjątku posiadacze całego dzieła bez względu czy je nabyli częściowo lub drogą prenumeraty otrzymają

bezpłatne premium

swój własny **portret fotograficzny** matowy na brystolu formatu 40×50 centym. jedynie za złożeniem fotografii. 943—8—3
Adres Administracyi: *Warszawa, Nowy-Świat № 61,* ***A. HINCHA i S-ka.***
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Pierwszy zeszyt wyszedł z druku.